

Kwestia piękna

Jak wielu z nas, dość intensywnie słuchałem ostatnio muzyki Chopina, skoro radio i telewizja transmitowały na żywo od pierwszego etapu XIX Konkurs Chopinowski. Słuchając przez większość dnia, równocześnie żyję jednak zwyczajnie, wypełniając codzienne obowiązki, co w praktyce znaczy tyle, że konkursowy Chopin jest w październiku w tle moich codziennych zajęć.

I dopiero wtedy, gdy któryś z pianistów nagle przykuje szczególnie moją uwagę, przystaję, siadam w fotelu i słucham tego akurat konkursowego recitalu uważniej, niżli wszystkiego innego. Tak było z etiudami i fantazją f-moll Kevina Chena, gdy zwłaszcza ta ostatnia wydała mi się jakimś przełomowym rozświetleniem całej wcześniej granej na konkursie muzyki. A potem także z zagraną mocną i zdecydowaną ręką sonatą h-moll Erica Lu, czy polonezem-fantazją As-dur Vincenta Onga. No, ale przecież nie śmiałybym teraz zawracać komukolwiek głowy (no... może poza moimi najbliższymi) tym, co mnie akurat podczas konkursu się podobało, albo nie podobało. Cóż to może kogo obchodzić?

Piszę o tym tylko dlatego, że przy okazji konkursu upewniłem się co do pewnego, niebłahego – jak mi się zdaje – przyczynku do diagnozy współczesności. I o nim właśnie chcę tu opowiedzieć. W ogóle ilekroć słucham muzyki, zwłaszcza tej, która jest bliska mojej duszy – na przykład kontemplacyjnych fug Bacha czy Szostakowicza, późnych

kwartetów Haydna i Beethovena, albo abstrakcyjnych sonat Bartóka – to próbuję z jednej strony rozpoznać, a z drugiej ukształtować własne pojęcie piękna. Owszem, jak wszystko co w życiu człowiek przeżywa jako istotne, także muzyka udziela mi się swoim nastrojem czy uczuciowością, a muzyka Chopina czyni to – rzecz by można – *tout court*. Ale moje nastroje i uczucia, nie tylko w ciągu długiego życia, ale często w ciągu jednego dnia wibrują, są niestałe, często ulotne. Zaś estetyczne przywiązanie do piękna owych fug, kwartetów, czy sonat trwa latami, a w przypadkach niektórych utworów muzycznych – od lat młodości aż do starczego wieku obecnego. Jak u wielu ludzi, czasem nawet owo długie estetyczne trwanie dotyczy jakiegoś konkretnego, zasłyszanego dawno temu wykonania; tak jest np. z beethovenowskim kwartetem op. 132 nagrany przez Kwartet Budapeszteński, które musiałem usłyszeć pierwszy raz w radiu jakieś pół wieku temu. Jak to możliwe? Bo owo mocne zakorzenienie tej, a nie innej muzyki w duszy nie jest – co dla mnie oczywiste – dziełem uczuć, ani bardziej generalnie (jakby to nazwał Tomasz z Akwinu) – duszy zmysłowej. Ich piękno musiało odcisnąć ślad w moim umyśle, ślad trwalszy od każdej, nawet najbardziej euforycznej emocji.

Przeczytaj również: Jan Rokita o zabójstwie Charliego Kirka

Okazje takie jak Konkurs Chopinowski wykorzystuję zatem, aby poczynić kolejny, choćby niewielki umysłowy krok na drodze kształtowania gustu muzycznego. Ów gust – to przecież sprawa niebłaha, bo to w nim właśnie manifestuje się moje aktualne odczytanie piękna. Słucham więc profesjonalnych komentatorów, którzy (Bogu dziękować) są ciągle ciekawszy i bardziej profesjonalni od innych dziennikarzy, zwłaszcza gdy idzie o publiczne radio. Oni dostrzegają w poszczególnych wykonaniach muzyki Chopina szczegóły artykulacji, dynamiki czy rytmu muzycznego, które ja – meloman

amator – zbyt często przeoczą. Czasem jest tak, i to są dla mnie cenne chwile, kiedy czyjeś granie mi się po prostu „nie podoba”, ale nie umiem sobie samemu odpowiedzieć na pytanie dlaczego? I za chwilę słucham w radio na przykład świetnej „szopenistki” – redaktor Róży Świątczyńskiej, która pokazuje mi kawa na ławę, co tutaj zdarzyło się nie tak, jak powinno. Owi profesjonalni komentatorzy są bezcenni w tej mojej intymnej pracy nad pięknem, przynajmniej dopóty, dopóki pokazują mi związek pomiędzy moim gustem a strukturalnymi problemami wykonawstwa muzycznego. Kłopot zaczyna się dalej, gdy od tych problemów usiłują przejść na wyższy poziom estetycznej percepcji pianistycznego recitalu.

To bowiem, co mnie zdumiewa, to fakt, iż wszyscy, nawet najbardziej profesjonalni komentatorzy, znają na owym wyższym poziomie tylko jedno kryterium percepcji muzyki. Są to ich własne uczucia, wedle dzisiejszej mody nazywane zawsze emocjami, oraz – oczywiście – ich wyobrażenia o uczuciach muzyków, w tym przypadku zarówno samego Chopina, jak i pianistów grających jego muzykę. Nie liczyłem tego rzecz jasna, ale głowę daję, że we wszystkich audycjach konkursowych słówko „emocje” pada najczęściej, często nawet kilkakrotnie w jednym zdaniu. Znawcy muzyki spekulują więc o tym, jakie kto z pianistów przeżywał emocje podczas gry, próbując je wyjaśnić porą dnia, nadmiarem wypitej kawy, wiekiem, bądź stresem pianistów, albo – to już prawdziwy koszmar – w infantylnym uniesieniu nad cukierkową wersją Chopina pewnej młodej Japonki zwierzają mi się na telewizyjnej antenie, iż mają „ciarki na plecach” (w co zresztą im nie wierzę). Telewizyjni reporterzy rozmawiający z pianistami potrafią zadawać im najczęściej jedno pytanie: jak się czują w tej chwili, jakby to dla kogokolwiek mogło mieć – poza samymi pianistami – jakiegokolwiek znaczenie. Ci zresztą wiją się w odpowiedzi, bo cóż mądrego można publicznie rzec na tak idiotyczne pytanie. Dowiaduję się, że jeden pianista grał niezbyt

dobrze, bo „powściągał emocje”, a drugi – bo „puścił wodze młodzieńczym emocjom”. Nikt z muzycznych profesjonalistów nie odważa się na to, aby (przywołując tu przydatny język estetyki Kanta) sformułować własny, wsparty dobrym gustem i wiedzą muzyczną, sąd na temat kryterium piękna. Nikt nie mówi do mnie: popatrz głupcze, na tym właśnie polega piękno tej sonaty, czy tych preludiów, wyrażające się osiągniętą przez tego właśnie artystę formą doskonałości. Nikt nie formułuje w istocie sądu estetycznego. A – jak mi się w każdym razie zdaje – nieprzemijające odkrycie Kanta w dziedzinie estetyki tkwi właśnie w dowiedzeniu, iż upodobanie estetyczne nie jest jakimś przemijającym uczuciowym zauroczeniem, albowiem nie stoi tylko na wrażeniu zmysłowym, czy „emocji”, ale na syntezie owego wrażenia oraz sądu rozumu, który dopiero potrafi wydać osąd dzieła muzycznego i jego artystycznego odtworzenia z perspektywy piękna. Piękna, które jakby je nie definiować, zawsze pozostaje jedną z najbardziej pierwotnych kategorii umysłu, a nie żadnego z pięciu zmysłów.

Wracam zatem do owego przyczynku – skądinąd niebłahego – do diagnozy współczesności. Skłonność redukcji Chopina, choćby w romantycznej muzyce tego typu nie wiedzieć jak wiele było uczuciowości, do tzw. „emocji” oraz problemów techniki wykonawstwa muzycznego, skłonny jestem rozumieć jako *signum temporis*. Zapewne krytyka muzyczna ulegać musi tym samym trendom kultury, które dominują dziś nad naszym światem zachodnim. A chyba mało kto w tym „naszym świecie” jest dziś gotów potraktować z dostateczną powagą słynne zdanie z „Timajosa”, wedle którego: „człowiek wyróżnia się ze świata prostą postawą i kieruje się ku górze, będąc zakorzeniony w niebie jako roślina niebieska (*phyton ouranion*)”. Emocje – to ta ważna sfera człowieczeństwa, która – skądinąd potrzebnie – trzyma nas mocno przy gruncie, jako rośliny ziemskie, czyniąc zarazem krewniakami nie tylko małą, ale delfinów, psów i królików. Pewien

światny i erudycyjny radiowy dziennikarz muzyczny ma od dawna upodobanie w jakimś słuchaczu, który swojego psa nazwał Mozart i stawia na równi własną i owego Mozarta wrażliwość na muzykę poważną. Ów dziennikarz lubi odczytywać na antenie opinie o muzyce podpisane przez Mozarta i jego pana. Oczywiście, można (a pewnie nawet należy) widzieć w tym nieszkodliwą zabawę. Tyle tylko, że jeśli ponad techniką muzyczną nie ma estetycznego sądu rozumu, ale tylko nasycenie takimi bądź innymi emocjami, to Mozart rzeczywiście ma takie same kwalifikacje do zajmowania stanowiska estetycznego, jak jego pan. Różni go tylko nieznanostwo pisma, więc pan pisze maile do radia w jego imieniu. Zabawa zabawą, ale jak to z zabawami bywa, stoi za nimi niemal zawsze śmiertelnie poważny kontekst dominującej kultury. Potrafimy poszukiwać doskonałej formy piękna dzieła muzycznego, jak i jego artystycznego odtworzenia, tylko, o ile istotnie jesteśmy „roślinami niebieskimi”, zaś wyrywający się w stronę nieba umysł (nous) jest naszym, także estetycznym „kierownikiem duszy” (jak stoi w „Fajdrocie”). W przeciwnym razie, wspólnie z Mozartem i jego panem, możemy się najwyżej położyć teraz na psychomuzycznej kozetce, aby wyrzucić z siebie emocje, jakimi zaraził nas Chopin i pianiści z konkursu jego imienia.

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej